



20

Snyder o marszu do tyłu



26

Matki i córki



92

Twarze brexitu

Temat tygodnia

- 12 **Malwina Dziedzic** O potworze LGBT i innych baśniach Prezesa

Polityka

- 16 Mariusz Janicki, Wiesław Władyka **Kolejny koniec Polski**
ROZMOWA POLITYKI
20 **Prof. Timothy Snyder**, badacz nacjonalizmu, o groźnej polityce wieczności Putina, Trumpa i Kaczyńskiego
24 Grzegorz Rzeczkowski **Opieszale poszukiwania**
Marka Falenty

Społeczeństwo

- 26 **Dr Elżbieta Korolczuk** o współczesnych relacjach między kobietami w rodzinie
29 Rafał Kalukin **SONDAŻ IBRiS**
Polacy już nie tacy konserwatywni
32 Marta Mazuś **Wybielanie Burego**
34 Piotr Pytlakowski **Co wiedział Anatol Lawina**

Rynek

- 36 Adam Grzeszak **Na czym się dorobił najbogatszy Polak**

- 40 Cezary Kowanda **Bitwa o Modlin**
42 Cezary Kowanda **e-PIT: wygoda albo bezpieczeństwo**

Świat

- 44 Artur Domoślawski **WENEZUELA Sabotażyści kontra zabójcy**
47 Ewa Wanat **NIEMCY Alice Weidel – tęcza twarz skrajnej prawicy**
50 Amerykański historyk **Robert Kagan** o tym, czy Polska powinna jeszcze liczyć na USA

Historia

- 52 Tomasz Targański **Postępowa Rzeczpospolita Pawłowska**
55 Piotr M. Majewski **1939: ostatnia noc Republiki Czecho-Słowackiej**

Nauka

- 58 Andrzej Hołdys **Jak znika Antarktyda**
62 Karol Jałochowski **Mileva, pierwsza żona Einsteina**

Ludzie i style

- 64 Ewa Wilk **Seks – polskie tabu**

- 67 Marcin Piątek **Wyzwiska na boisku**

Kultura

- 74 Rozmowa z aktorką **Magdaleną Cielecką**, filmową dziennikarką z thrillera „Ciemno, prawie noc”
78 Mirosław Pęczak **Mity kapitalizmu**
80 Bartek Chaciński **Słuchać Jacksona czy nie?**
83 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**
84 Aneta Kyzioł **Teatr lubi Masłowską**

Na własne oczy

- 92 Łukasz Wójcik, fotografie Piotr Małecki **Jak to teraz będzie: londyńczycy o wyjściu z Unii**

Stałe rubryki

- 5 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 39 Przegląd informacji rynkowych
- 70 Afisz • 86 Chutnik i Plebanek
- 87 Passent • 88 Hartman
- 89 Tym • 90 Do i od redakcji
- 91 Fusy • 98 Polityka i obyczaje



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Przedwczesna seksualizacja prezesa

Pewnego pisarza i publicystę wyproszone z pociągu, bo jego współpasażerów oburzyło, że podczas rozmowy w przedziale związku homoseksualne nazwał „pedalskimi”. PKP Intercity wyjaśniło, że „zachowanie pasażera przekroczyło granice przyjętych zasad współżycia”. Sprawa jest kontrowersyjna, bo moim zdaniem pisarz miał prawo nie zgadzać się na ograniczanie mu współżycia do granic akceptowanych w PKP Intercity. Chociaż może niepotrzebnie obrażał przy tym pary homoseksualne. Na plus trzeba mu jednak zapisać, że powstrzymał się od rękoczynów, co pewnie nie przyszło mu łatwo. Miejmy nadzieję, że pokłosiem podróży tego pisarza będzie kolejna ciekawa książka.

Zdarzenie to pokazuje, że nadmierna seksualizacja dotyczy nie tylko dzieci, ale także pisarzy i kolei państwowych. Nawet osoby na poważnych stanowiskach mówią publicznie tylko o jednym. Niedawno wszystkich oburzył prezydencki minister Szczerski, który namawiał nauczycieli do współżycia seksualnego w celu posiadania dzieci i poprawienia w ten sposób swojej trudnej sytuacji materialnej. Z kolei konwencja PiS w Jasionce pokazała rosnącą seksualizację prezesa Kaczyńskiego, który do tej pory uchodził za polityka słabo zseksualizowanego, zainteresowanego raczej deweloperką. W wyborach europejskich Jarosław Kaczyński śmiało postawił na program koncentrujący się na sprawach związanych



z masturbacją i zagrożeniem, jakim dla polskich dzieci jest kontakt z przedstawicielami opozycji, którzy te dzieci atakują. Od razu powiem: uważam, że to dobrze, że Kaczyński ostrzega dzieci przed ludźmi takimi jak Schetyna czy Trzaskowski, bo sprzyjające im media, niestety, o sprawie milczą, przypisując wszystkie zbrodnie księżom i biskupom. Ci ostatni nie są oczywiście bez winy, ale biorąc pod uwagę rozmiary pedofilii w Kościele, mam wątpliwości, czy księża i biskupi działają sami, czy też pomaga im ktoś z opozycji.

Wybory są dopiero pod koniec maja, dlatego nie wiem, czy tak wczesna seksualizacja nie będzie dla prezesa szkodliwa. Mimo to biskupi przeciwko niej nie protestują, bo uważają, że prezes nie jest już dzieckiem i wie, co robi. Z jego przemówienia w Jasionce jasno wynika, że pełne bezpieczeństwo naszym dzieciom jest w stanie zapewnić tylko PiS i nie ma powodu mu nie wierzyć. Politycy tej partii są naprawdę sympatyczni i widać, że dzieci nie zaatakują. A jeśli od tego dziecko jest grzeczne i dobrze ułożone, w nagrodę zawsze może od marszałka Terleckiego czy posła Piotrowicza dostać „ciumka”, a nawet bez żadnych obaw czy podtekstów seksualnych usiąść mu na kolanach.

Nadzieja w gejach



Jerzy Baczyński

Koalicja Europejska wymaga od wyborców cierpliwości i powściągnięcia nerwów. PiS odbył już trzy głośne zgromadzenia wyborcze, szykuje się do kolejnych, a Koalicja dopiero kończy układanie list. W całej kampanii przewiduje tylko trzy wspólne konwencje, czyli jedną w miesiącu. PiS planuje przynajmniej 13, po jednej w każdym okręgu, a więc co tydzień. Propagandowo i medialnie każda sobota należy do Jarosława Kaczyńskiego, bo to on, osobiście, przejął prowadzenie kampanii. Mateusz Morawiecki ze swoimi opowieściami o cudzie gospodarczym PiS, planie „wypełniania portfeli Polaków” wyblakł, został zepchnięty na dalszy plan, tak jak i cała tzw. oferta socjalna PiS. W tej krótkiej wiosennej kampanii PiS postawił na mobilizację swoich wyborców wokół rzekomego zagrożenia polskiej rodziny i dzieci, a w roli siejącego strach Jarosław Kaczyński jest niezastępowalny. TVP już podchwyciła i powtarza, że jedynym punktem programu KE jest dziś promocja homoseksualizmu, a tygodnik „Do Rzeczy” zapowiada wręcz nadciągającą „dyktaturę LGBT”. Jeszcze przed miesiącem nikt by chyba nie przypuszczał, że głównym tematem kampanii europejskiej w Polsce staną się geje i lesbijki, a słowem sezonu będzie seksualizacja.

Politycy Koalicji, każdy po swojemu, jakoś na te zaczepki odpowiadają, ale też czuć skrępowanie tematem i niepewność, czy w ogóle wychodzić na wybrane przez przeciwnika boisko. Podobno trwa jakieś uzgadnianie wspólnej reakcji i w ogóle szerszego programu Koalicji, ale w tej sytuacji trudno się dziwić, że to PiS narzuca tempo i emocje kampanii. Więc opozycja antypisowska jak zwykle zbiera cięgi od tzw. klasy gadającej za niemrawość. Jednak patrząc z punktu widzenia najważniejszego w tym roku zadania dla opozycji, czyli zwycięstwa w październikowych wyborach, nie należy Koalicji Europejskiej poganiać. Budowa list wyborczych, akceptowanych przez pięć partii i kilka wspierających je środowisk, to operacja delikatna, bardzo niebezpieczna dla nowego projektu. Pierwszy poważny test wzajemnego zaufania, umiejętności kompromisu, powściągnięcia ambicji osobistych i grupowych. Ponieważ chodzi tu o partie, które w przeszłości nie szczędziły sobie razów i uszczypliwości, napięcia są oczywiste. Ale na razie, odpukać, idzie dobrze, głównie dlatego, że dominująca w Koalicji PO oddała partnerom znacznie więcej miejsca, niż by to wynikało z sondażowych parytetów.

Do ogłoszonych już list można mieć różne zastrzeżenia: każdy bardziej aktywny i zainteresowany polityką wyborca znajdzie tu kandydatury na plus, na minus i na zero. Ale w sumie udało się dobrać grupę ludzi znanych, rozpoznawalnych, z dużym politycznym dorobkiem i doświadczeniem, dobrze pasujących akurat do Parlamentu Europejskiego. Ważne, że także ci, którzy nie znaleźli się na listach lub na miejscach, jakich oczekiwali, zachowują się lojalnie i (w zasadzie) nie wszczynają medialnego rabanu. Także sondaże wskazują na remis między KE a PiS, a co ważne, nie nastąpiła anihilacja Wiosny Biedronia czy Lewicy Razem, a więc formacji jednak niepisowskich. Ponieważ europejskie wybory nie wymagają od razu szczegółowych uzgodnień programowych, partnerzy koalicji mają też szansę wypróbowania formuły ucierania „jedności w różnorodności”. Jak znalazł przed wyborami jesiennymi.

Opowiadano mi, że na niedawnym spotkaniu analityków pracujących dla dużej międzynarodowej instytucji finansowej utworzenie Koalicji Europejskiej zostało uznane za jedno z najważniejszych politycznych wydarzeń roku. Uzasadnienie było proste: nigdzie w Europie do czegoś takiego nie doszło. W żadnym kraju siły uważające się za proeuropejskie nie stworzyły wspólnego bloku, stającego naprzeciw ruchom populistycznym i antyunijnym. Wrażenie robi i to, że partie KE mieszczą się w bardzo szerokim spektrum politycznym oraz zachowują swoją tożsamość. My tę skłoną przez Schetnę „tęczową koalicję” jesteśmy skłonni uważać za naturalny przejaw instynktu samozachowawczego, dla wielu obserwatorów w Europie to rzadki dziś przypadek racjonalizmu politycznego.

Brexit, choć na pozór ośmiesza tylko klasę polityczną Wielkiej Brytanii, powszechnie interpretuje się jako kolejny dowód „nędzy i upadku” współczesnej polityki. Gdziekolwiek spojrzeć – w USA, Francji, Włoszech, Hiszpanii, Niemczech, na Węgrzech, Słowacji, w Czechach itd. – miejscowe demokracje przeżywają okres smuty; sypią się dotychczasowe partie, ideologie i same instytucje państwa; społeczeństwa tracą zdolność komunikacji, empatii, kompromisu. Tragedia Wenezueli (którą opisujemy w reportażu Artura Domosławskiego na s. 44) pokazuje, niczym w sennym koszmarze, do czego te procesy mogą doprowadzić. Jednocześnie osłabione od wewnątrz demokracje stają się podatne na skoordynowane ataki zewnętrzne. Słynny historyk Timothy Snyder w tym wydaniu POLITYKI przejmująco mówi o tym, jak głęboko putinowska Rosja infiltruje kraje Zachodu (tu warto też zwrócić uwagę na nasz kolejny artykuł o sprawie Falenty), podsycia konflikty, spory światopoglądowe, zaraża swoim nihilizmem i cynizmem.

W tym kontekście wielopartyjna koalicja, która próbuje wspólnie bronić zasad i praktyki liberalnej demokracji, to zjawisko w Europie oryginalne, pod prąd. Czy ten eksperyment się powiedzie? Koalicja od początku została wystawiona na ciężką próbę: trudno jest odparać zmasowane insynuacje, reagować na jawne szczucie, a jednocześnie nie dać się skłócić, poróżnić, sprowokować. Jarosław Kaczyński znów w kampanii sięgnął po polityczny i ideologiczny cep, tym razem lokując swoje wyborcze nadzieje „w gejach”, jak kiedyś w uchodźcach. Nie wiemy, czy ta broń będzie skuteczna, ale badania opinii Polaków, także na temat stosunku do związków jednopłciowych czy edukacji seksualnej, które omawiamy w tym numerze, sugerują, że PiS może niechętnie bardziej zmobilizować swoich przeciwników niż zwolenników. I z cepa zrobi się bumerang.

Jan Koza



© JAN KOZA

KOMENTARZ

Inni szatani

Ewa Siedlecka



Coś się popsło w maszynie PiS do legalizacji łamania konstytucji. Już drugi raz Trybunał Konstytucyjny „dobrej zmiany” odroczył wydanie wyroku, którym miał dać nowej Krajowej Radzie Sądownictwa stempel legalności. Tym razem sytuacja wyglądała naprawdę dramatycznie: Julia Przyłębska, przewodnicząca składu, który miał sprawę osądzić, zduszonym z emocji głosem wygłosiła oświadczenie, że Trybunał odracza osądzenie sprawy (na posiedzeniu niejawnym, bo niejawnosc stała się wizytówką TK). Tradycyjnie nie wyjaśniła powodu. Dodała, że jeden z sędziów złożył wniosek, „aby skład orzekający podjął określone czynności w ramach orzekania”, i ona jest tym zaszokowana. O co chodzi?

Kilka dni wcześniej RPO Adam Bodnar przesłał Trybunałowi pismo, w którym zwraca uwagę, że jeśli TK orzeknie przed upływem 30-dniowego terminu, jaki ma RPO na decyzję o przystąpieniu do sprawy i złożenie swojego stanowiska, to skutkiem będzie nieważność wyroku. Można więc przypuszczać, że jeden z sędziów zagroził, że jeśli TK nie poczeka z osądzeniem sprawy do upływu terminu dla RPO, to on złoży zdanie odrębne, w którym uzna wyrok za nieważny.

Sprawę sądzi skład złożony wyłącznie z sędziów „dobrej zmiany”, zatem taki bunt sędziego byłby dowodem na tworzące się wśród

nich kolejne podziały. Pierwszy – już przy wyborze Julii Przyłębskiej i Mariusza Muszyńskiego na kandydatów na prezesa TK – odseparował się Piotr Pszczołkowski: pisemnie oświadczył, że wybór jest nieważny, bo sprzeczny z prawem. Potem Muszyński i Przyłębska pokłócili się, skutkiem czego Przyłębska cofnęła Muszyńskiemu wszystkie powierzone mu przedtem kompetencje. Teraz zaś wygląda na to, że któryś z sędziów zablokował wydanie orzeczenia w sprawie KRS.

A termin tego orzeczenia nie był przypadkowy: pięć dni przed rozprawą w Trybunale Sprawiedliwości UE w sprawie pytań prejudycjalnych Sądu Najwyższego o legalność KRS i jej sędziowskich nominacji. Przedstawiciel polskiego rządu zapewne wniośby na niej o umorzenie sprawy w związku z wyrokiem polskiego TK.

Ale możliwe, że – jak mawia prezes Kaczyński – inni szatani są tu (także) czynni. Bo wygląda na to, że w tej sprawie Trybunał dostaje sprzeczne instrukcje. Może być to refleks przepychanki pomiędzy ministrem-prokuratorem Ziobrą a premierem Morawieckim. Wiele wskazuje, że KRS zdecydowała się zaskarżyć do TK swoją legalność z inspiracji jej członka – Zbigniewa Ziobry. Członkowie KRS przyznawali, że zrzęcniej byłoby, aby to parlamentarzyści PiS zaskarżyli ustawę o KRS, ale nie chcą. Sprawa miała być osądzona 3 stycznia, ale została bezterminowo odroczone. Potem do wniosku KRS dorzucili jednak własny senatorowie PiS – i sprawę znowu odroczone. Być może podział w TK powstał w tej sprawie dlatego, że premier Morawiecki obawia się kolejnego konfliktu z Komisją Europejską, który niechybnie będzie, jeśli TK uzna powołanie KRS i jej działalność za zgodne z konstytucją, a TSUE – za niezgodne z prawem UE. Wtedy rząd będzie musiał zdecydować, który wyrok honoruje. Nieuznanie wyroku TSUE oznacza konflikt i zarzuty o dążenie do polexitu, czego PiS się boi. Uznanie – koniec wymiany kadr w sądownictwie.

Ciekawe, czy 25 marca TK wyda wyrok, czy tym razem ktoś ze składu się rozchoruje.

KOMENTARZ

Nauczycielska wojna nerwów

Joanna Cieśla



Konflikt nauczyciele–rząd nabiera temperatury i tempa. Weekendowa wypowiedź prezesa Związku Nauczycielstwa Polskiego w Radiu Zet dołała oliwy do ognia. Sławomir Broniarz zwrócił uwagę, że szkolne rady pedagogiczne mogą nie wydać decyzji o promocji uczniów do kolejnych klas, co sparaliżuje szkolną rekrutację – i że jest to „potężny oręż w ręku nauczycieli”.

Trudno uznać tę wypowiedź za zrzęcną, nawet jeśli zinterpretować ją tak, jak robią to życzliwi prezesowi ZNP, to znaczy – że nie jest to groźba, ale jedynie opowieść o możliwym scenariuszu: jeśli postulaty strajkowe (podwyżka wynagrodzeń o 1 tys. zł) nie zostaną zrealizowane, protest, którego start zaplanowany jest na 8 kwietnia, może trwać długo, nawet do czasu posiedzeń rad pedagogicznych pod koniec roku szkolnego. Jeśli tak by się stało, rady się nie odbędą, decyzje o promocjach nie zapadną.

W każdym razie takie słowa mogą zrazić neutralnych czy wahających się w odbiorze protestu. Samo ryzyko destabilizacji egzaminów ósmoklasisty i gimnazjalnych przez strajk budzi kontrowersje. Dostrzegli to rządowi politycy i sympatyzujące z rządem media. Grzmieli nieustannie, że Broniarz chce wysadzić szkołę, a dzieci będą zakładnikami ZNP. Po fali krytyki Broniarz przeprosił.

Oprócz tej wpadki wszystko idzie po myśli organizatorów protestu. Według ZNP i spontanicznych raportów publikowanych przez nauczycieli w mediach społecznościowych referenda strajkowe (muszą być przeprowadzone do 25 marca) wypadają jednoznacznie: protestować chce po 90–100 proc. pracowników. Przedstawiciele największych korporacji samorządowych spotkali się z ZNP i umówili na wspólne zabiegi o większe budżetowe pieniądze na oświatę, w tym na wynagrodzenia nauczycieli. Za to Krajowa Sekcja Oświaty i Wychowania NSZZ Solidarność wydaje się wic w konwulsjach – z jednej strony znowu nie chce podpaść rządowi, z drugiej boi się utraty szeregowych członków, którzy licznie deklarują poparcie dla protestu ZNP.

Kilkunastu przedstawicieli związku zajęło siedzibę małopolskiej kurator oświaty Barbary Nowak. Domagają się, by Mateusz Morawiecki przyjechał do nich negocjować podwyżki po 15 proc. w tym i kolejnym roku. Z upływem czasu ta sytuacja coraz bardziej wygląda na farsę. Pomijając to, że szef oświatowej Solidarności Ryszard Prokaj jest jednocześnie radnym PiS, i to, że związek wyrażał poparcie dla kurator Nowak po jej homofobicznych wypowiedziach, strajk – nagłaśniany początkowo jako okupacyjny – organizatorzy opisują już jako... rotacyjny. Okupujący wchodzi i wychodzą, normalnie uczestniczą w komisjach konkursowych na dyrektorów itd. W zetknięciu z tą „ustawką” akcja ZNP i współorganizatorów przebiega w sposób klarowny, logiczny i przewidywalny.

Problem obozu rządzącego ewidentnie puszczają nerwy, czego wyrazem były obraźliwe wypowiedzi wobec nauczycieli, choćby ta o braku przymusu celibatu. Nie ulega wątpliwości, że każda niefortunna wypowiedź przedstawiciela jednej ze stron konfliktu nauczyciele–rząd skutkuje mobilizacją w obozie przeciwnym. Dlatego – na ostatniej już prostej – warto szczególnie ważyć gesty i słowa.



Niech już idą

Europa zaczyna mieć już dość Brytyjczyków zamotanych w swój brexit, którzy wciąż nie potrafią ani wyjść z Unii Europejskiej, ani w niej zostać. Ten smętny przykład złych decyzji i politycznej niemocy jest przestrożą dla innych krajów.

Do niedawna jeszcze z dużym zainteresowaniem śledzono postępy w negocjacjach umożliwiających jak najmniej bolesny brexit, z zainteresowaniem obserwowano demonstracje Remain! (Zostajemy!) na ulicach Londynu, spory laburzysty Corbyna z jego własną partią i rozwój spraw na osi Zjednoczone Królestwo–Unia Europejska. Ale w zeszłym tygodniu sala plenarna w Parlamencie Europejskim była niemal pusta, a temat brexitu nie rozgrzał emocji. „Cóż my więcej możemy zrobić?“, „Zrobiliśmy wszystko, co leży w naszych możliwościach“ to zdania, które w Brukseli czy Strasburgu słyszę najczęściej.

Rozmawiałam ostatnio z ważnym przedstawicielem wielkiego europejskiego koncernu produkującego samochody. Powiedział, że firma bardzo dużo straci przez brexit, bo Brytyjczycy są ich ważnym klientem, a wprowadzenie ceł znacznie utrudni handel i podniesie cenę aut przywożonych do UK. Co więcej: na Wyspach produkowanych jest wiele części do samochodów, które następnie montowane są w fabrykach położonych w różnych krajach – *on the continent*, jak mawiają Brytyjczycy. Teraz nie będą automatycznie włączone w europejski system homologacji, trzeba więc będzie zorganizować wszystko od początku i każdą część homologować od nowa. Plus cła, oczywiście.

Gdziekolwiek się dotknie, trafia się na bardzo konkretne problemy. Na wszelki wypadek Komisja Europejska przygotowuje propozycje umożliwiające w wielu dziedzinach okresy przejściowe, dające możliwość przyszykowania nowych rozwiązań, a Parlament przyjmuje je w głosowaniach. To nam zabiera mnóstwo czasu, a kadencja dobiega końca. Jest jeszcze wiele spraw do zrobienia, a my tkwimy z nosami w bardzo technicznych papierach umożliwiających Brytyjczykom jak najsprawniejsze opuszczenie Unii. „To nas będzie dużo kosztowało, ale niech już idą“ – kontynuował przedstawiciel koncernu samochodowego. Zdziwiłam się bardzo. Przecież w jego branży chodzi o pieniądze i wyłącznie o pieniądze. Ale jego motywacja była prosta: jeśli zostaną, zawsze połowa będzie niezadowolona i będzie kontestować propozycje UE. To utrudni i spowolni proces decyzyjny, jak to już dzisiaj widać, a Europa musi iść do przodu i w kwestiach technologicznych, i w kwestiach coraz bardziej wspólnej polityki. Inaczej przegramy z resztą świata, a to może oznaczać katastrofę dla mieszkańców naszego kontynentu. „Niech idą“, mówił o Brytyjczykach, niech zobaczą, jak to jest być poza Unią, widocznie muszą tego doświadczyć, a za parę lat wrócą na kolanach i przyjmą ich na warunkach wyznaczonych przez Unię.

Wielka Brytania już nuży. Zawracanie głowy, są inne palące tematy. Patrzę na to z niepokojem: skoro taki ważny gracz polityczny i ekonomiczny, kraj, który do wspólnego europejskiego budżetu więcej dopłaca, niż z niego dostaje, spleciony z innymi państwami członkowskimi tysiącami nitek, tak łatwo zaczyna niecierpliwic, a nawet irytować, to co będzie z nami, jeśli nadal rząd PiS będzie oddalał Polskę od unijnego głównego nurtu? Nie jesteśmy

plnikiem netto do budżetu unijnego, tylko wprost przeciwnie: Polska w Unii otrzymuje najwyższe fundusze na rozwój strukturalny. Nasz kraj jest ważnym partnerem biznesowym dla wielu przedsiębiorców, dobrym rynkiem zbytu i eksporterem żywności, ale entuzjazm zagranicznych inwestorów dziś zastępuje ostrożność i podniesiony poziom czujności. Polska już nie jest obdarowywana takim zaufaniem jak w poprzednich latach, kiedy to Polacy zajmowali kluczowe miejsca w unijnych instytucjach, a komisarze dostawali najważniejsze portfolio: rozwój regionalny, budżet, wspólny rynek.

Dziś dajemy Wspólnocie mnóstwo powodów do niepokoju. Pierwszy raz w historii Unii Europejskiej uruchomiono procedurę ze słynnego artykułu 7, czyli ewentualnego odebrania głosu w Radzie przedstawicielowi rządu kraju, który łamie prawo. I dotyczy to Polski. Pierwszy raz w historii Unii Trybunał Sprawiedliwości zajmuje się skargą o łamanie niezawisłości sądów, i to również dotyczy Polski. Największa liczba najbardziej zanieczyszczonych miast w Europie jest w Polsce właśnie, i to prawdopodobnie będzie kolejnym powodem skargi do ETS. Także fakt, że w Polsce masowo wycinane są drzewa na terenach chronionych i że tym również muszą zajmować się instytucje unijne, powoduje oburzenie wielu europosłów. Jeszcze nie zdążyliśmy się dobrze zrosnąć z mozołnie od lat budowaną Wspólnotą, a już rząd Polski opowiada, że będzie ją zmieniał. „Czyli psu!“ – pada pytanie niemal ze wszystkich stron.

Zniepokojem obserwuję to, jak Wspólnota musi się coraz częściej pochylać nad polskimi problemami, przypominać, krytykować, ostrzegać, osądzać. Jeżeli tak szybko narosło zniechęcenie do Zjednoczonego Królestwa, mimo że to ich językiem posługujemy się w kontaktach międzynarodowych najczęściej, mimo że większość z nas kiedyś postawiła nogę na Wyspach, już nie mówiąc o literaturze, której dotknął chyba każdy czytający człowiek, to jak łatwo będzie machnąć ręką na Polskę, której rząd tę Wspólnotę kontestuje coraz wyraźniej!

„Czy to prawda, że ten poseł z Polski, któremu odebraliśmy ostatnio funkcję wiceprzewodniczącego, bo porównał cię ze szmalcownikami, znowu kandyduje?“ – pyta mnie posłanka z Holandii. Aż wstyd się przyznać, że tak i że w dodatku z naszej stolicy i z wysokiego miejsca. „To znaczy, że w Polsce takie rzeczy są OK? Że takich ludzi nam tu przyślecie?“. Albo: „Jaka kara spotkała tych, którzy dokonali symbolicznej egzekucji europosłów, wieszając ich portrety na szubienicach?“ – to pytanie pada często. Nie chcę tłumaczyć, że prokuratura przedłuża procedowanie, bo jeden z symbolicznych „katów“ pracował wtedy w Ministerstwie Sprawiedliwości, a wieszal po godzinach, i dziś jest pracownikiem Sądu Wojewódzkiego w Katowicach. Wolę, żeby słyszeli, że budujemy szeroki, wspólny front, Koalicję Europejską, żeby dzielić się odpowiedzialnością za cały kontynent i wspólnie powstrzymać falę populizmu.

O brexicie czytaj też na s. 10 i 92.



Konsola Xbox One S 1 TB w zestawie z grą Forza Horizon 4

Ciesz się otwartym światem z dynamicznie zmieniającymi się porami roku.
Przemierzaj Wielką Brytanię i zbieraj samochody
w pełnej wersji gry Forza Horizon 4 w wersji do pobrania.



Zestaw dostępny w sieciach:



Algieria rusza w nieznane

W miniony piątek odbyły się w całym kraju największe manifestacje w dziejach niepodległej Algierii. To na wieść, że 82-letni prezydent Abdelaziz Buteflika, który od 2013 r., po przebytych udarach, nie był w stanie przemówić publicznie, zrezygnował z kandydowania na piątą kadencję. „Chcieliśmy mieć wybory bez Butefliki, a dostaliśmy Buteflikę bez wyborów” – ten cytat z tłumu oddaje nastroje ulicy. Odwołane zostały bowiem jednocześnie – co sprzeczne z konstytucją – przewidziane na 16 kwietnia wybory prezydenckie, a tym samym bezterminowo przedłużona została władza Butefliki. Władza mocno iluzoryczna, nie wiadomo, jaką sprawność intelektualną zachował wożony na wózku prezydent, wszystko, co dotyczy jego choroby, pozostaje tajemnicą. Algierczycy mówią, że ich krajem w istocie rządzi od lat *le pouvoir*, władza. Prezydencki klan, z młodszym bratem Saïdem na czele, wpływowi generałowie, służby bezpieczeństwa (po sporych czystkach) oraz wybrani ludzie biznesu i garstka oficjeli – układ korzeniami sięgający wygranej wojny niepodległościowej sprzed blisko 60 lat.

Ewidentnie przyszła pora, żeby ten zasiedziały układ zmienić, zastąpić

nowym, młodszym – ale jakim i jak? W prezydenckim pakiecie znalazła się dymisja bardzo niepopularnego premiera, ale następcami zostali ministrowie spraw wewnętrznych i zagranicznych. Zaś na czele nowego ciała, które miałyby przeprowadzić transformację i przygotować pod referendum projekt nowej konstytucji, stanął 85-letni weteran dyplomacji, druh prezydenta, Lakhdar Brahimi. Ma na to czas przynajmniej do końca roku. Później miałyby być wybory. Kiedy? – kto to wie.

Nie takich rozwiązań oczekiwali protestujący, którzy opanowaniem i determinacją zapisują nową kartę w dziejach Algierii. Zaskoczeni, że w sumie tak łatwo udało się obalić kandydaturę Butefliki, co jeszcze miesiąc temu wydawało się poza zasięgiem wyobraźni. Wszyscy zostali zaskoczeni: władza – rozmiarem niezadowolonia, mocno przetrzebiona opozycja – szansą, jaką dostaje od losu. Dlatego i jedni, i drudzy nie mają mocnego kandydata, który zastąpiłby Buteflikę. Te solidarne setki tysięcy Algierczyków na ulicach to może najbardziej podniosły moment tej historii; odtąd, jak uczy doświadczenie, podobnych ludowych rewolucji będzie już pewnie tylko gorzej.



KOMENTARZ

Teraz albo nigdy

Łukasz Wójcik



Brexit to nie jest wina brytyjskiej klasy politycznej, ale przestroga dla każdej demokracji.

Ostatni tydzień, choć nie przesądził losów brexitu, jak żaden poprzedni uzmysłowił Brytyjczykom, w jakim są bagnie. We wtorek parlament po raz drugi odrzucił umowę wyjścia, którą przez 18 miesięcy negocjowała Theresa May. W środę posłowie wykluczyli możliwość wyjścia z Unii 29 marca bez żadnej umowy, co miałoby poważne konsekwencje gospodarcze, m.in. prognozowany spadek brytyjskiego PKB o 8 proc. I w końcu w czwartek – z braku porozumienia – Izba Gmin upoważniła premier do starań o opóźnienie brexitu. Zdecyduje o tym Rada Europejska 21 i 22 marca. Oto dlaczego powinna odmówić Brytyjczykom.

Upór May, która zmusza posłów do kolejnych głosowań nad tą samą umową, można oczywiście tłumaczyć egoizmem pani premier, która kolejny raz stawia interes własny i partyjny nad racją stanu. Ale warto spojrzeć na to z innej perspektywy. W czerwcu 2016 r. suweren się wypowiedział, oczekując brexitu, choć nie wiadomo dokładnie jakiego. Z jednym, jasnym wyjątkiem, od którego May nie mogła odstąpić – Londyn

musi odzyskać kontrolę nad granicami i przepływem osób. Premier wzięła sprawy w swoje ręce, popełniając przy tym szereg błędów, np. uruchamiając dwuletni okres negocjacji bez planu i strategii. Tylko warto pamiętać, że po pierwsze, nikt tego wcześniej nie robił. Po drugie, w negocjacjach różnica potencjałów była oczywista. I po trzecie, Unia nie może nagradzać dezerterów.

Efektom jest umowa wyjścia, która niewielu zadowala. Ale May wie – w końcu sama to negocjowała – że w tych warunkach lepszej nie dostanie. Mając w tyle głowy groźbę wyjścia bez umowy, zaczęła więc straszyć obie strony: brexitowców, żeby przestali marzyć o lepszej umowie, bo jeśli nie poprą jej propozycji, to Wielka Brytania wystąpi o nawet roczne przełożenie brexitu, a wówczas może on nigdy nie nastąpi. Z kolei zwolenników pozostania straszyla, że jeśli nie poprą jej umowy, to kraj wyjdzie bez żadnej. Czy taka taktyka ostatecznie się powiodła, będzie zapewne wiadomo dopiero po zamknięciu tego numeru POLITYKI. W weekend pojawiły się przecieki, że May po raz trzeci zmusi Izbę Gmin do głosowania nad jej umową wyjścia.

Tak burzliwy przebieg brexitu stał się uniwersalnym lekiem na narodowe kompleksy. Szczególnie w krajach, gdzie to jedyna okazja, by na Wielką Brytanię spojrzeć z góry i z niesmakiem. Wiadomo, u nas może i jest trochę nieporządku, ale tamci – niby taka stara demokracja – to dopiero mają bałagan. W dodatku owa przyjemność jest tym większa, że dla niektórych Europejczyków całe te negocjacje i kolejne dramaty w Izbie Gmin to – znów – jedyna okazja, żeby poczuć się mocarstwowo. Dlatego tak wielu po drugiej stronie kanału modnie załamuje dziś ręce nad upadkiem brytyjskiej klasy politycznej, która doprowadziła kraj do katastrofy, wystawiając go przy tym na międzynarodowe pośmiewisko.

Tylko że na brexitowy kryzys – tak jak na samą May – można spojrzeć z innej strony: to pierwsza linia frontu w wojnie



© APEAST NEWS - EAST NEWS, CTK/PAP

o demokrację. Dobry brexit od początku był politycznym mitem, wymyślonym przez populistów, w tym byłego szefa MSZ Borisa Johnsona i byłego szefa partii UKiP Nigela Farage'a. Wszyscy oni są dziś „byli”, świadomie odsunęli się od realizacji swojego pomysłu, wiedząc, że jest on niewykonalny w formie, jaką udało im się sprzedać wyborcom. I usadowili się w roli recenzentów, korzystających nie na rozwiązanie tego kryzysu, ale na jego przeciąganiu w nieskończoność.

Jak radzi sobie z tym brytyjski system polityczny?

Trudność w ocenie polega na tym, że nie mamy punktów odniesienia. Nie ma w historii politycznej ostatnich dekad podobnego przykładu, w którym demokratyczny rząd musiałby manewrować pomiędzy suwerenem sprowokowanym przez populistów w referendum do podjęcia wiekopomnej decyzji bez żadnych przesłanek a półwiecznym członkostwem w najbardziej zaawansowanej gospodarczo i politycznie organizacji świata, z którą wiąże go setki zależności i interesów. Można zaryzykować stwierdzenie, że brytyjski system broni się co najmniej przynajmniej, dając kolejne przykłady swojej żywotności, otwartości debaty, niezależności posłów i stabilności instytucji. Czego wielu kontynentalnym demokracjom, szczególnie tym młodym, można tylko życzyć.

To wszystko może jednak nie wystarczyć. Dlatego Rada Europejska powinna odrzucić prośbę Londynu o przełożenie brexitu. Wielka Brytania 29 marca powinna wyjść z Unii bez umowy, a premier May – oddać władzę tym wszystkim Johnsonom i Farage'om. Niech wezmą odpowiedzialność. Bo w przeciwnym razie zbudowany na resentymencie populistyczny mit o zdradzie brexitowej na lata zatrąje brytyjską i europejską politykę. A realne koszty jego hodowania – podziały społeczne, brak zaufania do polityki, radykalizacja poglądów – będą znacznie wyższe niż wspomniany spadek PKB. Z populistami nie da się wygrać. Niech porządzą, to sami się pokonają.

Biały dżihadizm



Utrudniony dostęp do broni palnej zapowiada premier Nowej Zelandii Jacinda Ardern w reakcji na zamachy w Christchurch, gdzie jeden napastnik w pół godziny zastrzelił w dwóch meczetach co najmniej 50 osób. Rząd ogłosił projekt reformy jeszcze w marcu. Specjaliści apelują, by zająć się użytą przez zamachowca bronią samopowtarzalną. Dotąd Nowozelandczycy nie mieli ochoty nawet na częściowe rozbrojenie. Swoje robi tradycja, bardziej łowiectwa niż samoobrony, w 4,5-milionowym kraju jest ok. 1,5 mln sztuk broni. Ta szybkostrzelna powinna być rejestrowana, użytkownicy często omijają obowiązek. Choć coś się ruszyło. Po zamachu nieliczni właściciele zaczęli oddawać broń samopowtarzalną policji, aby funkcjonariusze zajęli się jej zniszczeniem.

Zamachowiec starannie przygotował ataki, chciał także zachować wpływ na ich ocenę. Pozostawił kilkadziesiąt stron zapisków. Chodzi o przebudzenie białej rasy, nazywanej Europejczykami, ulegającej naporowi najeźdźców z obcych cywilizacji, nie-Europejczyków. To ideologiczny groch z kapustą, z odwołaniem do zbrodni bośniackich Serbów, Norwega Andersa Breivika, ostrzeżeniami przed imigracją, wezwaniem do wzięcia odwetu na islamie i instrukcjami, skąd czerpać wiadomości o prawdziwej kondycji świata. W sumie nic oryginalnego, takie manifesty wielokrotnie pozostawiali inni biali zamachowcy i radykałowie, próbując wyjaśnić trasę prowadzącą do skrajnych postaw, licząc przy okazji na zdobycie zwolenników dla swoich idei. Na razie notatki przynoszą skutek odwrotny. Christchurch jest jak dotąd chyba najpoważniejszym ostrzeżeniem przed pobłażaniem retoryce białego rasizmu i supremacji. Dowodem, że do terroryzmu uzasadnianego walką z dżihadyzmem prowadzą te same mechanizmy, które do przemocy pchają islamistów.

Szeryf Czaputova

Blyskawiczna kariera **Zuzany Czaputovej** trwa – w I turze wyborów prezydenckich na Słowacji ta kandydatka, miesiąc wcześniej jeszcze mało znana, zyskała ponad 40 proc. głosów i została w polu cały zastęp doświadczonych konkurentów. W II turze zmierzy się za dwa tygodnie ze wspieraniem przez rządzącą krajem od 8 lat partię SMER Marozsem Szefczowiczem, doświadczonym dyplomatą, który od lat jest członkiem Komisji Europejskiej, a nawet ostatnio był jej wiceprzewodniczącym.

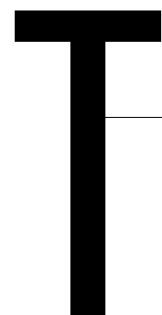
Słowacy szykują się na brudną kampanię, bo Szefczowicz (dostał w I turze 18,7 proc. głosów) jest w stanie poszerzać własny elektorat tylko dzięki głosom skrajnej prawicy i populistów. Już w niedzielę po ogłoszeniu wyników wyborów zaczął wygłaszać kąśliwe, mętne aluzje o tym, że Czaputova to rzekomo nieodpowiedzialna entuzjastka masowego sprowadzania do kraju „imigrantów”. Tak będzie prawdopodobnie ton tej kampanii. Obozowi rządzącemu zależy bowiem na tym, aby odciągnąć uwagę wyborców od tematu numer 1: publicznej debaty o korupcji i powiązaniach polityków z mafią. Kwestie te zdominowały słowackie życie publiczne ponad rok temu, kiedy grupa płatnych morderców zabiła krytycznego wobec rządzących śledczego dziennikarza Jana Kuciaka i jego narzeczoną. W areszcie czekają na proces sprawcy i ich główny zaręczonodawca biznesmen Marian Kocner, osoba z towarzyskiego otoczenia elit SMER-u, sąsiad z jednego apartamentowca byłego premiera Roberta Ficy, który – choć ustąpił ze stanowiska premiera – nadal jest głównym rozgrywającym w partii rządzącej.



Byli uchodźcy, gender, a wcześniej układ. Pora na LGBT. Jarosław Kaczyński wraca do znanych metod: wywołuje lęk, wskazuje wroga, zapewnia, że tylko jego partia może uchronić „polskość” przed niszczycielskimi siłami. Czy jednak tym razem stary chwyt się sprawdzi?

Bajki dla dorosłych





a opowieść zbudowana jest na klasycznym, można powiedzieć, komiksowym schemacie: jest więc „przeciwnik”, który ma plan „zniszczenia fundamentów polskiej kultury”, są wrogie siły, które nie tylko „atakują rodziny, ale atakują nawet dzieci”. Naprzeciw nim staje superbohater. Nie może uwierzyć w to, co widzi – „włosy na głowie dęba stają”. Bo „w centrum jest bardzo wczesna seksualizacja dzieci”, „podważanie naturalnej tożsamości chłopców i dziewczynek”, niszczenie mechanizmu przygotowywania do ról męża i żony, ojca i matki. Swoim ludziom powtarza zatem: „Trzeba walczyć, walczyć i walczyć. Trzeba gryźć trawę i dzięki temu zwyciężyć”. A złowieszcze siły przestrzega: „Wara od naszych dzieci!”. Z taką narracją objeżdża okręgi wyborcze prezes Jarosław Kaczyński.

Partia rządząca potrzebowała nowej „osi sporu”, czegoś, co „pociągnie” kampanię do Parlamentu Europejskiego i zaktywizuje elektorat. Eurowybory nie cieszą się szczególnie zainteresowaniem – pięć lat temu frekwencja wynosiła niespełna 24 proc.; głosowały głównie duże miasta, do wyborów najrzadziej szli mieszkańcy wsi. W obozie władzy obawiają się powtórki z ubiegłorocznej bitwy o Warszawę, w której przeciwnicy PiS tłumnie poszli do urn (frekwencja prawie 67 proc.) i dali zwycięstwo rywalowi. Rządzący okopali się na pozycjach eurosceptycznych, więc wybory do PE wydają się łatwiejsze dla opozycji. Gra jednak idzie nie tyle o same euromandaty, ile o tytuł zwycięzcy, który będzie miał znaczenie w kolejnej kampanii, tym razem do parlamentu krajowego. Stąd akcja-mobilizacja, trudna dla PiS, gdyby kampanijna agenda miała się układać wokół tematów europejskich. A do tego właśnie dąży opozycja – chce mówić o wyprowadzaniu Polski na obrzeża UE, groźbie polexitu, międzynarodowych blamażach, utracie prestiżu, wpływów i pieniędzy.

Do tego dochodzą kumulujące się wokół PiS afery i słabnące morale w tylnych sejmowych ławach. Jacek Karnowski, czołowy publicysta „dobrej zmiany”, już kilka tygodni temu zwracał uwagę, że: „PiS jak powietrze potrzebuje dziś osi sporu, które będą służyły obozowi rządzącemu, które postawią po jego stronie większość społeczeństwa” (wPolityce.pl). Z pomocą przysłała sama opozycja.

Trolle

Pretekstem kolejnego wzmocnienia moralnego PiS stało się podpisanie 18 lutego 2019 r. przez prezydenta stolicy „Warszawskiej Deklaracji LGBT+”, opracowanej na bazie programu Stowarzyszenia Miłość Nie Wyklucza. Na czterech stronach maszynopisu znalazły się zapisy dotyczące: bezpieczeństwa (w tym reaktywacji hostelu interwencyjnego oraz stworzenia sieci „latarników” – nauczycieli, którzy będą udzielać wsparcia młodzieży LGBT+), edukacji (antydiskryminacyjnej i seksualnej w każdej szkole, zgodnej ze standardami WHO), kultury i sportu (m.in. objęcia patronatem prezydenta Parady Równości i wsparcia klubów sportowych dla osób LGBT+), pracy (wdrożenia Karty Różnorodności w jednostkach miejskich oraz współpracy z pracodawcami przyjaznymi osobom LGBT+) i administracji (powołania pełnomocnika prezydenta ds. społeczności LGBT+ oraz wprowadzenia klauzuli antydiskryminacyjnych w umowach z kontrahentami miasta).

Część polityków prawicy, w tym niedawny kontrkandydat Rafała Trzaskowskiego Patryk Jaki, podnoszą, że to nie tylko

próba deprawowania dzieci, ale i przekierowania milionów złotych „do kieszeni lewicowych organizacji na walkę ideologiczną”, reszta skupia się przede wszystkim na załączniku do Deklaracji, czyli opracowanych przez WHO „Standardach edukacji seksualnej w Europie”. To blisko 70-stronicowy dokument, który opisuje poszczególne fazy rozwoju seksualnego dziecka [więcej na s. 64]. Żaden z naszych rozmówców z PiS nie przebrnął przez niego, każdy zapewnia jednak, że opracowania i „wymyki” wystarczą, aby wyrobić sobie zdanie. I tu otwiera się pole do manipulacji. Politycy PiS cytują fragmenty tzw. matrycy, ale mieszają elementy opisu rozwoju dziecka ze wskazówkami dla wychowawców i rodziców.

– *Znam młodych rodziców mieszkających na Zachodzie i tam już, niestety, to wszystko się dzieje. Tam się na pluszowych narządach płciowych uczy dzieci w przedszkolach, co jest czym – opowiada Łukasz Zbonikowski, poseł PiS. – Jeśli mamy w Polsce rodziców zdeprawowanych, którzy nie boją się, żeby ich dzieci w wieku 4–5 lat uczyły się o masturbacji, to proszę bardzo. Natomiast ja do takich rodziców nie należę. Nawet jeśli dzieci się interesują, to nie znaczy, że należy im pokazywać filmy porno. A do tego to zmierza. To jest chyba oswajanie z pedofilią. Uczenie do seksu i obnażania się.*

Ale nawet tego typu opinie, wyszydzane przez polityków KE (rzecznik PSL drwi, że prezes PiS niebawem będzie krzyczał: „A na drzewach zamiast liści będą wisieć onaniści!”), nie zmieniają faktu, że opozycja ma kłopot. W zalewie kłamstw, przeinaczeń i półprawd ciężko połapać się, o co chodzi. Trudno też oczekiwać, że nagle wszyscy rzucą się do lektury broszurki WHO, skoro ponad 60 proc. Polaków nie jest w stanie przeczytać w ciągu roku choćby jednej książki. Tym bardziej więc do podpisania Deklaracji trzeba było się umiejętnie przygotować – opracować materiały i wdrożyć kampanię informacyjną. Ale wkraść się pośpiech. – *To nie była żadna wielka strategia Rafała ani nasza. On chyba nawet nikogo nie informował, że zamierza podpisać tę kartę – mówi Sławomir Nitras, poseł PO. – Postawił sobie za punkt honoru, że będzie realizował program. Ale zderzył się z tym, z czym każdy na takim stanowisku: mówią mi, że może coś zrobić, tylko zaraz dodają, że nie będzie miał pieniędzy na to czy tamto. Bo są projekty, są zobowiązania. Więc realizuje to, co może zrobić od razu.*

Sam Trzaskowski tłumaczy: – *W kampanii powiedziałem, że podpiszę kartę, jak opadną emocje. Mam dość podejmowania decyzji pod dyktando cynicznej i populistycznej obawy, co z tym robi PiS. Nie byłoby karty LGBT, to wymyśliliby inny pretekst, żeby szczerć Polaków na siebie.*

Prezydent Warszawy przynajmniej jednak, że może rzeczywiście najpierw trzeba było dopracować szczegóły, w tym program, budzących najwięcej emocji, dodatkowych zajęć edukacyjnych z tolerancji i rozwoju seksualności człowieka, a dopiero potem podpisywać Deklarację: – *W głowie się nie mieści, że ktoś może uwierzyć w takie bzdury, jak choćby z tą nauką masturbacji. Wszystko to jest oparte na manipulacji i kłamstwie. Zajęcia z edukacji mają być dobrowolne, nikt nie musi posyłać na nie dzieci. W kolejnych dniach pokażemy, co chcemy na nich robić, i wszyscy zobaczą, że nie ma tam nic wielce kontrowersyjnego.*

Cyklopi

W PO zarzekają się, że będą bronić prezydenta stolicy i jego decyzji. – *Karta równości, tolerancji, jest czymś oczywistym, za czym stanie każdy przyzwoity Polak. Podobnie jak za uświadomianiem dzieciom, czym jest zły dotyk, i ochroną przed pedofilią – podkreśla Sławomir Neuman. – Będziemy protestować przeciwko homofobii, wykluczeniu, napuszczaniu jednych na drugich i sianiu nienawiści przeciwko mniejszościom ▶*

► – deklaruje. Mówił o tym także Grzegorz Schetyna, który na antenie TVN24 stwierdził nawet, że w tej sytuacji byłby gotów pójść na czele Marszu Równości. „Ten atak na gejów, lesbijki, na wszystkie mniejszości, pokazuje politykę, którą będzie robił PiS: przegrywamy wybory, grozi nam porażka, więc szukamy wroga. To jest polityka à la Putin” – podkreślał przewodniczący Platformy. Ale część polityków PO uważa, że Trzaskowski zbyt pochopnie podjął decyzję o podpisaniu Deklaracji – lepiej by było, gdyby czekał do listopada, aż miną obie kampanie. Bo tak dostaje się wszystkim.

Temat również w samej KE powoduje napięcia – w tak szerokiej koalicyjnej formule nie brak i konserwatystów, i polityków, którzy zwyczajnie obawiają się, że wyborcy w ich okręgach, mający dostęp głównie do mediów rządowych, przyjmą część sążonej tymi kanałami homofobicznej propagandy. – *Powtarzam moim ludziom, aby nie mówili: osoby LGBT, bo ten skrót dehumanizuje i nie każdy go rozumie. Lepiej mówić wprost, że PiS straszy gejami i lesbijkami. No bo kto dziś boi się geja albo lesbijki?* – pyta retorycznie szef jednej z regionalnych struktur Platformy. Rzeczywiście, prawie 35 proc. Polaków nie potrafi właściwie rozszyfrować skrótu LGBT oznaczającego: lesbijki, gejów, osoby biseksualne oraz transgenderyczne [IBRiS, więcej na s. 29]. Nie mówiąc już o plusie, za którym kryją się kolejne mniejszości – osoby queer (Q), interseksualne (I) oraz aseksualne (A). Dlatego podobnie jak w przypadku gender, którym kilka miesięcy przed poprzednimi eurowyborami straszyl PiS, łatwo o manipulację. Niewiedza i lęk zbudowały już niejedną kampanię wyborczą.

Tym razem jednak Kaczyński może się przeliczyć. Wykreowanie źródła strachu w postaci nadciągających do Polski tabunów uchodźców poskutkowało w kampanii w 2015 r., ale już trzy lata później, kiedy sztabowcy PiS wypuścili antyuchodźczy spot, efekt był przeciwny od zamierzonego. Także teraz może się okazać, że napastliwa, homofobiczna propaganda, która w założeniu ma „obudzić” wieś, zmobilizuje miasta.

Skrzaty

Zacząto się zresztą uderzeniem wycelowanym w wieś, w ludowców. PiS – „zatroskane” utratą tożsamości PSL w Koalicji Europejskiej – przypuściło atak najpierw na partię Władysława Kosiniaka-Kamysza. W sieci zaczęły krążyć przerobione na tężowe peeselowskie koniczyny, obok pojawiały się wpisy alarmujące o rozprzestrzenianiu się wirusa HIV wśród homoseksualistów (kolportowane przez PiS Podkarpacie z hasztagiem #PSLGBT), a pieśniarz disco polo, który rzucił partyjną legitymacją, ponieważ nie wyobraża sobie „głasować na LGBT i lewicę”, wyruszył w tour po mediach. Byli koledzy z partii specjalnie się tym nie przejęli, bo – jak mówią – i tak „od dawna grał dla PiS”. W odwodzie mieli zresztą syna Władysława Bartoszewskiego, który od dawna sympatyzuje z ludowcami i w nadchodzących eurowyborach wystartuje z list KE.

Dopiero potem PiS uderzył szerzej. I choć opozycja w ubiegłym tygodniu starała się nie podsycać sporu, tuż przed weekendem oliwy do ognia dodał zastępca Trzaskowskiego. Paweł Rabej w wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej” powiedział: „Najpierw przyzwyczajmy ludzi, że związki partnerskie to nie jest samo zło (...). Potem łatwiej będzie o kolejne kroki, o równość małżeńską z adopcją”. I się zaczęło. Tą politycznie niefortunną wypowiedzią uwiarygodnił narrację prawicy,

która od dawna straszy, że legalizacja związków partnerskich to droga do adopcji dzieci przez pary homoseksualne (przeciwko czemu opowiada się aż 80 proc. Polaków – s. 29). Rafał Trzaskowski szybko upomniał swojego zastępcę i polecił mu zajęcie się wyłącznie zadaniami, które mu wyznaczył, ale dyskusji to nie zatrzymało. Również Schetyna odciął się od słów Rabeja i zapewnił, że nie będzie to element programu Koalicji ani w wyborach do PE, ani do Sejmu i Senatu. Ale Kaczyński następnego dnia, podczas katowickiej konwencji, już dziękował wiceprezydentowi Warszawy za szczerość i „postawienie sprawy jasno”.

W KE nie mogą uwierzyć, że Rabej okazał się tak naiwny i nie miał świadomości konsekwencji swoich słów. – *On jest agentem PiS!* – zżyma się jeden z polityków PO. Co ciekawe, sam Paweł Rabej rzeczywiście był kiedyś związany ze środowiskiem Jarosława Kaczyńskiego: na początku lat 90. pomagał przy kampanii Porozumienia Centrum; współpracował też z braćmi Kaczyńskimi przy pisaniu książek. W sieci krąży wspólne zdjęcie 22-letniego Rabeja i 44-letniego Kaczyńskiego, zrobione podczas konferencji po przyjeździe z Sarajewa, dokąd wraz z grupą innych polityków pojechali wspierać ofiary wojny w byłej Jugosławii.

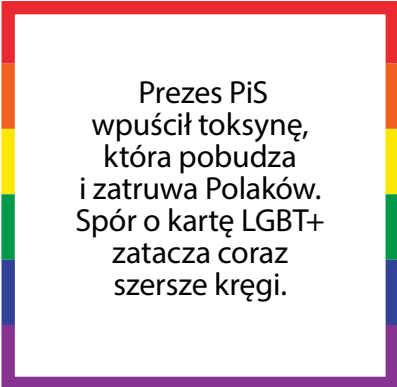
Gremliny

Również Kościół, który musi teraz tłumaczyć się z przypadków pedofilii wśród duchownych, postanowił wykorzystać zamieszanie wokół warszawskiej karty LGBT. Konferencja Episkopatu Polski wydała specjalne oświadczenie, w którym wyraża sprzeciw wobec zapisów Deklaracji: „Można się obawiać, że Karta wprowadzi do szkół program wychowania seksualnego w duchu ideologii gender, adresowany już do małych dzieci. Wychowanie to ostatecznie będzie prowadziło

do brutalnego zapoznawania dziecka z anatomią i fizjologią sfery seksualnej, z technikami osiągnięcia zadowolenia płciowego, a w dalszej kolejności technik współżycia cielesnego, poznania metod zapobiegania chorobom przenoszonym płciowo i »niechcianej« ciąży”. Na wstępie biskupi zaznaczyli: „Kościół nie używa nazwy LGBT, ponieważ w niej samej zawarte jest zakwestionowanie chrześcijańskiej wizji człowieka”.

Dzień później podczas konferencji, na której prezentowano statystyki dotyczące przypadków pedofilii w polskim Kościele, przedstawiciele episkopatu wrócili do tematu. I także starali się przekierowywać uwagę na problem „seksualizacji dzieci”. „Z jednej strony tworzy się programy seksualizacji dzieci, aby jak najwięcej zarobić na środkach antykoncepcyjnych i puścić w ruch życie seksualne. A z drugiej strony atakuje się skutki, to, co doprowadziło do późniejszego przestępstwa” – mówił abp Stanisław Gądecki. A i abp Marek Jędraszewski w charakterystyczny sposób podszedł do sprawy, twierdząc, że sprawcom pedofilii należy „okazywać miłosierdzie”, a hasło: zero tolerancji „ma charakter w jakiejś mierze totalitarny”, ponieważ odwoływali się do niego i naziści, i bolszewicy. (Na kontrze do tych wypowiedzi był prymas Wojciech Polak, przyznający, że przypadki pedofilii to „wstrząs, który rani całą wspólnotę Kościoła”).

Także środowiska katolickie, próbując wyciszyć temat pedofilii w Kościele, umniejszają odpowiedzialność sprawców albo szukają współwinnych. Tak było choćby w jednym z ostatnich programów Jana Pospieszalskiego, w którym goście mówili o „homolobby” i „wielkiej skali infiltracji homoseksualnej w Kościele”.



Prezes PiS
wpuścił toksynę,
która pobudza
i zatruwa Polaków.
Spór o kartę LGBT+
zatacza coraz
szersze kręgi.